W jakiś czas po

Mimo później zimowej pory po śniegu nie było nawet śladu, a słońce nadal uparcie i niezachwianie tkwiło wysoko na firmamencie, bezlitośnie gnębiąc swoim ukropem i tak już dostatecznie wysuszoną i sponiewieraną ziemię. Było cicho i bezpiecznie, jeżeli w ogóle niebezpieczeństwo może być tam, gdzie nie ma życia. W takim miejscu niebezpieczeństwo po prostu nic nie znaczy. W takim miejscu podobny stan nie istnieje, nikogo bowiem i niczego nie dotyczy. W takim miejscu panuje pustka i absolutna martwota.

Już dawno stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo jest w drodze i ile przebył – nie interesowało go to. Nie wiedział również, gdzie zmierza. Wiedział tylko tyle, że jadł ostatnio bardzo dawno i że jest wyczerpany. Głód i słońce, słońce i głód – to były dwie rzeczy, które towarzyszyły mu nieprzerwanie, od początku, w jego wędrówce donikąd. Dlatego z każdym krokiem zmęczenie w nim się wzmagało coraz bardziej. Jego ciało, narażone na ustawiczne i nie słabnące ani na chwilę działanie promieni słonecznych, było nie tyle opalone, co już spalone na smołę, a resztki ubrania, które zapewne było kiedyś jego częścią składową, chroniło go i w jakiś sposób określało, teraz, postrzępione i brudne, wisiało na nim, jak na kukle umieszczonej w szczerym polu, mającej jedynie na celu odstraszanie zgłodniałego ptactwa. Mimo całego koszmaru, jaki przeżywał i który go otaczał, wytrwale szedł dalej. I chociaż coraz częściej i intensywniej myślał o odpoczynku, wiedział, że dopóki nie znajdzie czegoś, co by dawało jakiekolwiek schronienie przed potwornym żarem lejącym się z nieba, nie znajdzie najmniejszego skrawka cienia, nie

może się zatrzymać, przystanąć choćby na najkrótszą chwilę. Odpoczynek tutaj bowiem oznaczał śmierć, taką sam jak wszystkiego dookoła, powolną i okrutną. A gdyby ktoś, kto żył na tych obszarach całkiem jeszcze nie tak dawno, znalazł się w tych stronach teraz, nie rozpoznałby ich. I gdyby ktoś mu uświadomił, gdzie się znajduje, to nie tylko że nie uwierzyłby, ale wręcz doznałby szoku – tak głęboka i tragiczna to była zmiana. Wszystko dookoła wyglądało jak jedno bezbrzeżne, wygaszone ognisko, wypalone do końca. Bezbrzeżne, bo nie tylko ten obszar tak wyglądał, wyglądała tak niemal cała półkula ziemi, której słońce nie opuszczało ani na chwilę, będąc jej najwierniejszym towarzyszem. Z kolei kompanem drugiej części była nigdy nie kończąca się noc. Noc i jej chłód. I jeżeli na tej półkuli życia nie było w ogóle, to na tej pierwszej, na której on się właśnie znajdował, można było spotkać jeszcze takie fragmenty, gdzie zmiany nie były ostateczne. Fragmenty te świadczyły o przeszłości, o tym, czym było jeszcze do niedawna życie! I właśnie te oazy życia pośród totalnej śmierci, mimo że nie było ich tak wiele, wzniecały nadzieję i wiarę, dawały siłę i obietnicę przetrwania. Dlatego nadal uparcie szedł przed siebie łudząc się, że w końcu kiedyś dojdzie do takiego miejsca i… i właśnie dzięki temu przetrwa. Będzie żył!

Gdy w pewnym momencie ujrzał przed sobą na horyzoncie ciemną plamę, początkowo nie wierzył, że to może być właśnie to. Myślał, że to kolejna fatamorgana, której ulegał coraz częściej, a która przyciągała go do siebie niczym głos homerowskich syren, by już w następnej chwili rozpłynąć się w powietrzu, wywołując w nim skrajne uczucia, balansujące na pograniczu szaleństwa. Tym razem jednak nie było to przywidzenie, a każdy następny krok

coraz bardziej i mocniej utwierdzał go w tym przekonaniu. I kiedy w końcu dotarł do tego miejsca, przekonał się z nieskrywaną radością, że naprawdę ma przed sobą jedno z tych nielicznych źródeł życia, które prawdopodobnie dzięki występującym tutaj wodom gruntowym nie uschło, nie wtopiło się w otoczenie, ale wyodrębniło z niego, zachowując tym samym niewyraźny obraz tego, co było, a co zostało pewnego dnia bezmyślnie zniszczone.

Ostatnie metry były najgorsze. Pokonał je, czołgając się bezgranicznie wyczerpany, jak jakiś ociężały płaz. Wiedział, że po raz kolejny udało mu się – wymknął się śmierci. Osiągnął w końcu to, w co już od dłuższego czasu zaczął powątpiewać: żył! A miejsce, w którym się znalazł, dawało obietnicę przedłużenia tego życia.

Przez jakiś czas leżał nieruchomo, wdychając zapach trawy. I chociaż nie była soczyście zielona i świeża, jak za dawnych lat, to teraz upajał się nią. Była ona bowiem w tym momencie dla niego najpiękniejszą trawą, jaką kiedykolwiek widział. Następnie, nie odrywając od niej twarzy, począł skubać ją zębami i wolno przeżuwać. Może nie było to w tym momencie pożywienie o jakim marzył, ale na pewno było najlepsze, na jakie mógł sobie w tych okolicznościach pozwolić, tym bardziej, że innego wyboru nie miał – cała biosfera umierała. Świat, dawniej kwitnący i pulsujący różnorodnością form życia, teraz konał i to konał na jego oczach.

Bardziej czuł niż wiedział, że nie jest sam, że gdzieś na pewno są inni ludzie, którzy też przetrwali, ale jak dotąd w tej swojej samotnej tułaczce nikogo jeszcze nie spotkał. Wierzył jednak, chciał wierzyć!, że tak właśnie jest. Myślał:

Jeżeli ja nadal żyję, to dlaczego nie miałby się uratować ktoś jeszcze. To, że nikogo do tej pory nie spotkałem, o niczym jeszcze nie świadczy, niczego definitywnie nie przesądza. Po prostu nie dotarłem jeszcze do tego miejsca, a może nawet miejsc, w których życie jednak przetrwało. Może w innej, zmienionej formie, ale jest, istnieje! I była to prawda – prawda o tyle, że faktycznie nie dotarł jeszcze wszędzie, nie sprawdził, nie przekonał się naocznie. Zresztą, o innym rozwiązaniu wolał nie myśleć. Sam jeden na ziemi!? – taka myśl była zabójcza i nie do przyjęcia. Takie myśli definitywnie odrzucał! Bo gdyby okazało się to prawdą, to… to dalsze trwanie byłoby nie tylko beznadziejne, ale, co najgorsze, również bezsensowne. Taka ewentualność była dla niego po prostu nie do zaakceptowania. Takiej prawdy nie chciał!

Gdy w końcu zaspokoił pierwszy głód, słońce znowu przypomniało mu o sobie dręczącym żarem. Co prawda nie było to wymarzone miejsce na schronienie przed nim, to jednak dwa nieopodal rosnące gęste krzewy, stwarzały taką możliwość. Podczołgał się w ich kierunku. Nie zdążył się jeszcze wygodnie pośród nich ułożyć, gdy niespodziewanie coś się poruszyło, a w następnej chwili jego oczom ukazała się ona. Tak, to była żywa istota – z krwi i kości! Włosy miała długie, ciemne, jednak nie wiadomo czy taki był ich kolor naturalny, czy też to brud bardziej o tym decydował – pozlepiane były bowiem ze sobą, tworząc nieforemne „warkoczyki”. Była szczupłej budowy, a jej ciało, tak jak i u niego, tylko fragmentami pokrywały strzępki czegoś, co kiedyś było ubraniem. Oczy miała duże i wystraszone. Przez jakiś czas wpatrywali się w siebie w milczeniu, jakby się ze sobą oswajali, po czym w końcu pierwszy odezwał się on.

– Więc nie sam – powiedział nawet nie tyle do niej, ile bardziej do siebie, jakby chciał sam siebie dodatkowo utwierdzić w tym, co zobaczył; że to, co przed nim stało, to wcale nie kolejny omam, ale człowiek – taki sam jak on! Wewnątrz czuł pęczniejącą radość, a w oczach zalśniły mu łzy. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wzruszenie uwięziło mu słowa w gardle. Wyciągnął rękę i dotknął ją, jakby jeszcze nie wierzył, że to, co widzi, to prawda. Że oto stoi przed nim żywe spełnienie jego nadziei – kobieta!

Teraz i ona, jeszcze nieśmiało, ale już nie tak bojaźliwie jak na początku, pozbawiona pierwotnego przerażenia, delikatnie otarła mu dłonią łzę z policzka, a w następnej chwili ich dłonie spotkały się ze sobą i splotły. Trwali tak jakiś czas w ciszy na wyciągnięcie dłoni, nasycając się nawzajem swoim widokiem, gdy z kolei przemówiła ona:

– Już traciłam nadzieję… – Nagle urwała, a po dłuższej chwili dodała: – Czyż to nie cud? Tyle szczęścia… Tyle… – Płakała, a łzy na jej twarzy tworzyły teraz bezgłośny wodospad.

Przybliżył się do niej i objął ją.

– Tak, to prawdziwy cud – powiedział, a ona wtuliła się w niego bez strachu, ufna teraz i pewna bezpieczeństwa schronienia, jakim stały się jego ramiona. Może już nie tak silne jak dawniej, ale nadal męskie. Ludzkie.

09.05.1991 r.